

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

24

Pani Kożuchowska przygryzła usta i chwilę zbierała myśli, przygotowując zatrutą strzałę.

— Pani Konradowa, to uroczna osoba — zaczęła słodziutkim tonem — i ogromnie, zdaje się, towarzyska.. Ja częściej, niż panie, można widzieć tu i ówdzie...

— Rzecz jasna, jeżeli ma ochotę, to chodzi.

— Właśnie Lutka Wichurzanka poznała ją niedawno u panny Teresy Larchówny.

Pani Kożuchowska niedbale bawiła się dżetami swojej ręcznej torebki i miała minę osoby, Bogu ducha winnej.

Pani Żarnicka nie mogła zapanować nad sobą, aby nie okazać zdumienia. Gęste jej brwi zsunęły się, oczy zabłyśły.

— Co!?... Co pani powiada? U Larchówny?... To niepodobna!... Moja synowa nie zna się z Larchówną...

— Ja też byłam bardzo zdziwiona... Bo przecież Larchówna kiedyś... I wogóle to osoba, nie ciesząca się nazbyt dobrą opinią... Ale Lutka mówiła...

— Lutka jest narwana...

— To prawda, że narwana! — przyświadczyła pani Kożuchowska. — Na przykład z tym uniwersyteciem! Ale tego przecież wymyślić sobie nie mogła...

— Dlaczegożby nie? Musiało się jej coś przywidzieć — zdecydowała pani Żarnicka tonem stanowczym, który wykluczał wszelki protest.

Pani Kożuchowska zrozumiała, że struny przeciągać nie należy. Wiedziała zresztą, że kołec tkwi i to jej wystarczało.

— I ja tak sądzę, że Lutce coś się przywidziało... Bo, gdzieżby pani synowa z taką Larchówną... Mówiłam odrazu Mici...

— Pani pozwoli — przerwała jej gospodyni — że przejdziemy do jadalni na podwieczorek.

Wykwintna zastawa stołu, kawa z grubym kożuszkim i piękne, białe ciasto z wiśniami poirytowało znowu panią Kożuchowską.

Z apetytem zabrała się do kawy, wzięła spory kawałek ciasta, ale bujne jej łono falowało gwałtownie ze wzburzenia na widok tego dobrobytu, w jaki opływał dom Żarnickich.

— Czy ona wie, co to wojna!... Jak się to pyszni, jak się wysadza — chce mi zaimponować... — kipiała gniewem pani Kożuchowska.

— Co mi ta flusia jaszczurka ma jeszcze do powiedzenia? — myślała pani Żarnicka.

— Pan Koszczyc jest serdecznym przyjacielem pana Łuniewskiego, wszak prawda?... — podjęła od niechcenia pani Kożuchowska.

Wąskie wargi pani domu drgnęły prawie nieodróżnialnie.

— Tak jest.

— Cóż to za miły, przystojny, elegancki młody człowiek, ten pan Łuniewski! Nic dziwnego, że panny w Łykowie kochają się w nim... — pani Kożuchowska spojrzała z pod oka na małą Loli.

— Czyżby Micia?... — uśmiechnęła się pani Żarnicka.

— Micia? O! Nie... Ona na to za rozsądna!...

— Woli starszych i mniej przystojnych... Bardzo słusznie i odpowiednio — wtrąciła złośliwie podrażniona gospodyni, bo czuła, że w powietrzu wisi jakiś nowy pocisk.

— ...ale za to są inne. — dokończyła pani Kożuchowska, nie zmieniając tonu, słodkiego, jak fałszowany sok malinowy. — No i młode mężatki go lubią... Na przykład synowa pani...

Pani Żarnicka utkwiała w swoim gościu zimne, przenikliwe spojrzenie.

— Czy synowa moja rozmawiała z paną o panu Łuniewskim...

— Ach! Nie... Nie mam nigdy sposobności, by rozmawiać z paną Konradową... Ale widocznie lubi go, jeżeli wraca z nim ze spaceru o dość późnej godzinie... Oczywiście w tem niema nic złego... Ja to zaraz mówiłam... Ale byli tacy, którzy się dziwili...

— W Łykowie wogóle ludzie lubią się dziwić wszystkiemu, nawet najprostszemu rzeczom — rzekła pani Żarnicka, dzwoniąc na służącą.

Wydawała się zupełnie spokojna, tylko żyła na jej czole stała się jakoś widoczniejszą.

— To samo mówię zawsze, to samo!... Cóż w tem nadzwyczajnego, że sobie przyjechali do miasta sami, wozem chłopskim?... O! Majówka taka i koniec... Jeżeli pani pozwala, to coś komu do tego...

Nóż, którym pani Żarnicka krajała ciasto, szczerknął o porcelanową podstawę.

— Jak widzę, Łyków bardzo interesuje się moją synową... A mogłoby się zdawać, że ludzie w obecnych czasach co innego mają w głowie...

Pani Kożuchowska zrobiła pogardliwy ruch ręką, ale oczy jej jeszcze silniej błyszczały.

— Taka plotkarska dziura! — wyrzekła, przełknawszy kilka haustów kawy. — Ja bo tego nie cierpię i brzydzę się plotkami poprostu...

— To rzecz powszechnie wiadoma — zauważyła pani Żarnicka z uprzejmą miną. W głosie jej jednak coś zasyczało.

— Może pani pozwoli jeszcze kawałek placzka?... — podsuwała gościowi tacę z ciastem.

Pani Kożuchowska nie dała się prosić. Wypiła kawę do ostatniej kropki, ciasto zjadła ze smakiem a potem odetchnawszy głęboko, ciągnęła dalej.

— Ja nawet słuchać nie lubię żadnych bajek... Nawet powtarzać sobie nie pozwalam... Cóż mnie to obchodzi, co się u kogo dzieje?...

— Oczywiście, oczywiście — przytaktowała pani Żarnicka, topiąc wzrok w swojej niedopitej kawie.

— Co mi na przykład do tego, czy synowa pani zastawiała u Gelbfisza broszkę, czy nie?... Że tam Gelbfiszówna tak opowiada!... Także mi źródło wiarygodne — taka żydowica!...

Pierś pani Żarnickiej zaczęła podnosić czarną etaminę bluzki.

— Albo co to za historie wymyślają sobie ludzie z tego powodu, że pani Konradowa była w biurze zasiłkowym, aby się starać o zapomogę za męża...

Twarz pani Żarnickiej oblała się krwią. Ale przytomna kobieta zorientowała się natychmiast w sytuacji.

— Zasiłek, rzecz rządowa — wyrzekła, siłąc się na jak największy spokój — każdemu się należy... Nikogo przez to nie krzywdzi.

Kożuchowska była trochę zbита z tropu obojętym tonem Żarnickiej.

— Czyżby ona wiedziała o wszystkim?... Może sama wysłała synową po zasiłek!...

— A to chciwa baba!... Nawet tych kilkudziesięciu halerzy dziennie nie chce podarować, a teraz sprawia sobie jedwabie i prawdziwe koronki...

Oczywiście tajną myśl swoją pani Kożuchowska zatrzymała przy sobie, a głośno ją przyświadczać:

— Ależ naturalnie!... Ja to samo mówiłam!... A plotkarki odrazu wzięły na języki, że pani Konradowa biedę cierpi, że jej tego brakuje, tamtego brakuje... Nie potrafiłabym tego nawet powtórzyć, bo nigdy nie chcę słuchać takich głupstw...

— Droga pani rzeczywiście nic a nic nie zajmuje się gadaniami ludzkimi — przerwała pani Żarnicka potok słów wymownej damy — dowód mam na to jasny...

Pani Kożuchowskiej zadrgały powieki. Przeczekała odwet.

— Co kochana pani ma na myśli?

— Hm... Pani pozwala Mici na samotne spacerowanie z panem Potyrowskim, a tymczasem o panu Potyrowskim ludzie przebąkują to i owo...

Kożuchowska zaczerwieniła się, jak piwonie.

— Toż to pani lokator...

Pani Żarnicka wzruszyła ramionami.

— Cóż to znaczy, lokator... Zapłacił czynsz z góry, więc mu wynajęłam... Skądże jednak wiedzieć mogę, co on za jeden. Czy jest żonaty, czy wdowiec, czy kawaler...

Pani Kożuchowska słowa te kładła na karb zazdrości, niemniej zrobiło się jej bardzo nieprzyjemnie.

Na twarzy jej, poprzez grubą warstwę pudru, ukazały się sinawe plamy, znak niezawodny, że matka panny Mici uczuwa zdenerwowanie.

Straciła też ochotę do dalszej pogawędki i, przypomniawszy sobie, że musi odwiedzić chorą panią Mizerską, pożegnała się i wyszła.

Zaledwie drzwi zamknęły się za gościem, pani Żarnicka zadzwoniła tak gwałtownie, że pod guzikiem dzwonka pękła sprężynka.

Joasia ukazała się natychmiast — tak szybko, jak gdyby była tuż pod drzwiami.

— Pani dzwoniła?

— Czy młodsza pani w domu?

— Nie, proszę pani. Wyszła.

— Dawno?

— Będzie już może godzina.

— Tak, dobrze... Możesz odejść.

— Całuję rączki.

— Czekałno jeszcze! Czy pokój młodszej pani zamknięty na klucz?

— Nie. Młodsza pani nigdy nie zamyka pokoju.

— — — — —

Józia zdziwiła się i przestraszyła, kiedy zastała świecę w swoim pokoju.

Józia domyśliła się odrazu czegoś niedobrego, co było nietrudno zresztą, bo twarz pani Żarnickiej płonęła gniewem.

— Mama życzy sobie czegoś odemnie? — wyrzekła nieśmiało młoda kobieta.

Świekra nie odpowiedziała nic. Podeszła do drzwi, zamknęła je na klucz i klucz schowała do kieszeni.

Józia z sercem, bijącym trwogą, śledziła jej ruchy. Co to będzie?...

Pani Żarnicka usiadła na krześle i oczy, przypominające w tej chwili wzrok Meduzy, wlepiła w śliczną, pobladłą twarzyczkę synowej.

— Ty, słuchaj i odpowiadaj!... — rzuciła przez zaciśnięte zęby.

— Nie wiem, o co mama ma zamiar pytać — odpowiedziała Józia. Nie zdążyła zdjąć kapelusza ani rękawiczek i stała przed świecą tak, jak wróciła z miasta.

— Ja ci radzę, bądź pokorną, bo inaczej nie ręczę za siebie...

— Co mama...

— Milcz, kiedy ja mówię i odpowiadaj tylko na pytania! Znasz Larchównę?!

Józia spuściła oczy.

— Znam.

— Kto cię z nią zaznajomił?!

— Nikt. Ona sama mi się przedstawiła!...

— Naturalnie!... Wyczuła odpowiednie towarzystwo!... Jesteście godne koleżanki pod każdym względem!...

Józia oblała się szkarłatem, ale usiłowała zachować spokój.

— Wcale mi to podobieństwo nie ubliża — wyrzekła drżącym głosem.

Pani Żarnicka wpatrywała się w nią przez chwilę z naigrawaniem.

— A wiesz ty, kto to jest ta Larchówna?!

— Wiem. Kobieta dobra, rozumna i pracująca ciężko i uczciwie na swoje utrzymanie.

— Taka sama beczelna dziewczka, jak ty...

— Mamo!...

— Milcz!... Tak, jak ty, była kochanicą mojego syna, tylko, że tobie udało się go złapać!...

Józia zatrzęsała się jak w febrze.

W kredowo bladej twarzy oczy świeciły, jak błękitne płomienie.

— Mama nie ma prawa obrażać tak mnie, jak i pannę Teresę!... Ja nie byłam niczyją kochanicą, a ona także...

Pani Żarnicka zerwała się z krzesła. W pokoju zabrzmiał zgrzytliwy, straszny poprostu śmiech.

Usta miała wykrzywione, w kątach warg ślinę i oczy furii.

Z piersi jej dobywał się ciężki oddech. Syzczała Józia prosto w twarz.

— Ty, ty mnie w moim domu będziesz dyktowała prawa, ty kreaturo bezwstydną!... Ty nędzniczo!... Ja cię nauczę!...

Józia przerażona cofnęła się kilka kroków w stronę okna. Ogarnął ją szalony strach przed tą rozwściekloną kobietą.

— Gadaj!... — wrzasnęła pani Żarnicka — Chodziłaś do Gelbfisza?!

— Chodziłam... — wybiegło cichutko z ust drżących, pobladłych, jak umarły koral.

— Po co?!

— Zastawiłam moją broszkę po matce!...

— Jak śmiałaś nazwisko Żarnickich kłaść po lichwiarzach?!

— Nie miałam ani grosza, nawet na marki...

— Dlaczegoś nie wzięła ze swego posagu, nędzarko?!

— drwiła pani Żarnicka. — I o zasiłek się starałaś?...

Józia nie ośmieliła się już odpowiedzieć. Z oczyma, pełnymi łez, skinęła w milczeniu głową.

— Tyl!... Tyl!... po stołroć beczelna!... Przekłety dzień, w którym mój biedny, obalamucony syn ciebie poznał!...

— Mamo!... mamo!...

— Nie śmiej nazywać mnie mamą!... Czegoś